Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 12 LIPCA 1924. Nr 44.

Pod znakiem realizacji praw mniejszości narodowych.

Uzgodnienie w ramach wspólnej państwowości aspiracji i interesów różnorodnych, pod względem charakteru i poziomu kulturalnego, narodowości, jest zaganieniem wymagającem dziesiątków i setek lat systematycznej, planowej, konsekwentnej pracy. Spoczywa ono przedewszystkiem w psychice obywateli, której ewolucja pozostaje zawsze znacznie w tyle poza wydarzeniami dziejowemi, szczególnie w okresach skoków gwałtownych, i nigdy nie może dokanać się całkowicie w jednem pokoleniu.

Dlatego też nie wydawały nam się nigdy poważnemi głosy zagranicy czyniące Polsce najcięższy zarzut z powikłania stosunków narodowościowych, jakgdyby zapominając, że przecież do końca roku 1920, kiedy inne, krytykujące surowo nasze błędy, narody zażywały odpoczynku, my byliśmy żołnierzami w służbie kultury cywilizowanego świata, którzy ją bronili i obronili przed najpotworniejszem barbarzyństwem czerwonego teroru.

Od czterech więc niespełna lat pracujemy nad skonstruowaniem ram państwowości, zapewniających wygodne pomieszczenie wszystkim obywatelom polskim, bez wyglądu na ich narodowość i wyznanie, ram, które w tej koncepcji są ideałem demokracji polskiej, nie odrazu osiągalnym. Będziemi niezmiernie wdzięczni przedstawicielom naszych mniejszości i rzecznikom ich maximalistycznych żądań na terenie polityki między-

narodowej, jeśli zechcą spokojnie wskazać nam jakiekolwiek państwo, chociażby o najstarszych nieprzerwanych tradycjach, któreby w przeciągu czterech lat rozwiązało swoje wewnętrzne problemy narodowościowe. Wkroczenie w tej dziedzinie na tory rozważań historycznych wniosło by niewątpliwie nieco spokoju i rozwagi w dyskusję nad sprawą, której negacja, upozorowana maximalizmem, nie rozwiąże, ani nawet naprzód nie posunie.

Nigdy nie ukrywaliśmy, że stosunki narodowościowe, szczególnie na kresach wschodnich są fatalne i od dawna nawołujemy do wprowadzenia w życie, względem mniejszości, zasad konstytucji. Przystąpienie do tej pracy było i jest w naszem zrozumieniu jednem z najpilniejszych zadań państwa. Wymaga tego rozum stanu i wzniosłe zasady sprawiedliwości, na których, jak na niewzruszonym fundamencie, musi opierać się egzystencja Polski. Byliśmy i będziemy pod tym względem nieubłaganemi wrogami bałamutnego nacjonalizmu, wyobrażanego przez St. Grabskich, Strońskich, Zamorskich, Dubanowiczów, Lutosławskich, Grünbaumów i Priłuckich — wyciągając rękę do wszystkich światłych ludzi, którzy potrafią pogodzić poczucie godności narodowej z rozumem politycznym, liczącym się z realnemi warunkami rzeczywistości.

Nacjonaliści polscy, których ideą przewodnią było i jest wskrzeszenie w granicach polskiej państwowości najgorszych wzorów gwałcenia obywateli obcej narodowości, oraz nacjonaliści mniejszości, którzy z wzruszającą lekkomyślością zapuszczają się w labirynty możliwości oddania się pod opiekuńcze skrzydła Sowietów — są pożałowania godnemi szaleńcami i prawdziwemi wrogami sprawy, w imię której rzekomo walczą.

Ostatnie miesiące przyniosły pod tym względem niejakie otrzeźwienie w obozie nacjonalistów polskich. Stało się to, jak zawsze w tym obozie wyznawców polityki zależności, pod wpływem zmian na terenie międzynarodowym. Ci sami krzykacze, którzy w grudniu 1922 r. doprowadzili do zamordowania Prezydenta, dlatego że otrzymał w Zgromadzeniu Narodowem głosy przedstawicieli mniejszości, występują obecnie z różdżką oliwną, a p. Stroński po powrocie z zagranicy doszedł do tak dla swego obozu rewolucyjnych wniosków, jak że „rzetelne spełnianie tego wszystkiego co nowoczesne pojęcia i zobowiązania prawne zarówno konstytucyjne jak międzynarodowe wskazują w tej dziedzinie, będzie zawsze i tylko ono będzie opoką, o którą rozbiją się wszelkie przesadne oskarżenia, a na której wzniesie się uznanie dla nas jako dla państwa dobrej woli, ładu, prawa, co nie jest wcale wartością nieuchwytną czy błahą“.

Nie jest to jeszcze deklaracja człowieka wolnego, bo obliczona tylko na zyski i efekt zewnętrzny, a nie podyktowana

przez samorodny zmysł sprawiedliwości i poczucie honoru nakazujące bezinteresowny szacunek dla raz danego słowa. Nie mniej przecież jest to już krok naprzód, którego wyrazem są trzy ustawy językowe dla województw wschodnich — dziecię kompromisu pomiędzy prawicą i lewicą sejmową.

Ustawy te, uprawniające język białoruski, ukraiński i litewski w administrjacji, sądownictwie i szkolnictwie na terenie odnośnych województw wschodnich, aczkolwiek niedoskonałe, są krokiem wielce doniosłym, i najzawziętsi szowinistyczni posłowie białoruscy i ukraińscy, demonstrujący niezadowolenie z tego powodu, będą się wobec swoich wyborców chwalić ich dobrodziejstwem, jako osobistą zdobyczą. Możność porozumienia się w ojczystym języku z urzędem i bronienia przed sądem — jest kapitalną podstawą wolności obywateskiej i dlatego będzie ona przyjęta z wielką ulgą przez praktycznie myślącego chłopa białoruskiego i ukraińskiego.

Największe zastrzeżenie budzi ustawa o uprawnieniu języka tych mniejszości w szkolnictwie. Ustawodawca — kompromis wyszedł z „zasady godzenia i łączenia dla zgodnego współżycia ludności narodowo mieszanych ziem" i w tym celu ustanowił typ „szkoły wspólnej", dwujęzycznej. Eksperyment ten nie wydaje się być szczęśliwym i należy z góry przewidywać, że praktyka zmusi do zaniechania go. Szkolnictwo jest instrumentem bardzo czułym i narzucanie mu dość zawiłych tendencji politycznych zwykle zawodzi, jeśli nie wywołuje wprost przeciwnych zamierzeniom skutków.

Nie mniej wszakże, te trzy ustawy, jako całość, świadczą dobitnie, że rząd wszedł już na tory realizacji praw mniejszości narodowych, a to jest najważniejsze.

W. Stpiczyński.

Nowy precedens konstytucyjny.

Zaledwie przed tygodniem zastanawialiśmy się nad znaczeniem incydentu z niedoszłą dymisją ministra Hübnera, a już mamy do zanotowania nowy niepokojący precedens konstytucyjny. Sejm skreśla uposażenie vice-ministra oświaty, jako demonstracyjną oznakę braku zaufania do osoby urząd ten w danej chwili piastującej. W całej Europie po takiem głosowaniu minister oświaty, odpowiedzialny przed parlamentem za swój urząd, pięknie się kłania, zabiera swe akta i po godzinie już jest eks-ministrem. U nas inaczej. Bezpośrednio po tem głosuje się nad drugim wnioskiem — o skreśleniu uposażenia ministra oświaty. Ten wniosek upada. Konsekwencja: minister nie ustępuje, bo wniosek wprost przeciw niemu skierowany upadł. Wiceminister tem bardziej, bo jest urzędnikiem przed sejmem nieodpowiedzialnym i jego oczywiście,

głosowania mogą tyle obchodzić co zeszłoroczny śnieg. Logika zaś i tradycja parlamentaryzmu, jedynie poszkodowane w tym całym incydencie, nie znajdują w sejmie nikogo, ktoby się za nimi ujął.

Jest jakaś metoda w tym obłędzie. Złośliwi mogliby przypuszczać, iż jest to świadoma akcja dążąca do dyskredytowania i ośmieszenia samej istoty parlamentaryzmu. Ale o to przecież naszą lewicę posądzać niepodobna. Pozostaje więc jedynie drugie tłumaczenie, niestety równie przykre: lewica będąca dzisiaj większością w sejmie niechce tego uznać, gdyż boi się odpowiedzialności, która by dla niej stąd wynikła. Przedsmak tego mieliśmy, gdy po upadku rządu Witosa p. Thugutt pytał się endeków czy chcą go widzieć prezesem ministrów. Obecnie zaś za każdym razem, gdy lewicy uda się obalić ministra, widzimy przeczenie własnemu zwycięstwu i gwałtowną rejteradę. Należy rozumieć to w ten sposób, że wnioski nieufności mają być jeno demonstracją i że w cichości ducha ich autorzy modlą się: „Boże, daj żeby wniosek nie przeszedł, bo wtedy nie trzeba się będzie wycofywać". Takie postawienie sprawy stwarza może bardzo miłą grę towarzyską dla posłów, ale w opinji Kraju może wywołać jedynie zamęt i niepokój. Pan Grabski, chociaż mu uchwalono pełnomocnictwa nihilujące niemal zupełnie wolę sejmu, mimo to nie jest dyktatorem, a ministrowie jego nie są wyłącznie od niego zależni.

Póki Sejm aktem ustawodawczym lub też w drodze zamachu nie zostanie usunięty, póty on formalnie wyobraża wolę Kraju i ci posłowie którzy pozwalają na lekceważenie tej woli, sami własnemi rękami kopią grób sobie i idei demokratycznie rządzonej parlamentarnej rzeczypospolitej.

Czternasty lipca w pałacu Brühlowskim.

W liście korpusu dyplomatycznego warszawskiego, wydanej pod auspicjami ordynata Zamoyskiego w styczniu r. b. przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, znajduje się następujące curiosum. Jest niem spis świąt narodowych, w które należy składać życzenia dyplomatom akredytowanym u rządu warszawskiego. Równolegle do spisu świąt biegnie kolumna, w której znajdują się objaśnienia, na jaką pamiątkę państwa obchodzą swe święta. Dowiadujemy się tam, że Watykan święci rocznicę koronacji ostatniego papieża, Argentyna proklamację swej konstytucji republikańskiej, Hiszpanja imieniny króla Alfonsa, Estonja ogłoszenia niepodległości i t. d.

Dwa święta jednak lista wymienia bez podania motywów, dla których są one obchodzone przez dane państwa. Najwidoczniej nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważa, że motywy te nie mogą być wymienione w jego publikacji oficjalnej.

Państwami, o których świętach oficjalnych ordynat Zamoyski wstydzi się mówić są: Francja i Unja Sowiecka. Jak wiadomo, Francja obchodzi

jako swe święto narodowe — w sposób bardzo uroczysty — dzień 14-go lipca, rocznicę wzięcia Bastylji i zburzenia przez tłum Paryżan tej twierdzy absolutyzmu burbońskiego. Unja zaś Sowiecka święci rocznicę rewolucji 7 listopada.

Widocznie słowa, jak „wzięcie Bastylji“ lub „rewolucja“ zostały przez nasze ministerstwo skreślone ze słownika oficjalnego Rzeplitej Polskiej. Pozostaje nam przypuszczać, że w pałacu Brühlowskim, zamiast Bastylja, mówi się „pewien zamek służący za więzienie podczas panowania sławnej dynastji Burbonów“ lub „pewien zamek w departamencie Sekwany, rozebrany w końcu XVIII stulecia“, i zamiast „rewolucja rosyjska“ używa się w kancelarji ministerstwa słów, „pożałowania godne wypadki, jakie poprzedziły ów ohydny traktat brzeski“ lub „smutne okoliczności, które zakończyły się upadkiem domu Romanowów“.

Ta antirepublikańska wstydliwość poucza nas o tem, jakie pojęcie o Fracji ordynat Zamoyski i jego towarzysze wynieśli z klubów i restauracji, do których uczęszczali w Paryżu. Ale w jaki sposób stali się oni dyskretnymi kustoszami, zamierzchłych dziś, anachronicznych w sobie samych i obcych nam legitymizmów burbońsko-romanowskich? Na legityimzm burboński powołują się spiskowcy z grupy Action Française, którzy nie znajdując adherentów we Francji, zyskali, jak widzimy, kilku sympatyków operujących dyskretnie w kancelarji odległego pałacu Brühlowskiego.

Duch, jaki w ten sposób zdaje się ożywiać ów pałac, przypomina czasy restauracji i białego terroru we Francji, kiedy to jeden z adwokatów został zawieszony w swych funkcjach, ponieważ mówiąc o skazaniu za zdradę swego kraju Ludwika XVI-go, „wspomiał o tem z obojętnością, nie dając wyrazu uczuciu zgrozy, jakiem ta ohydna zbrodnia napełnia wszystkich Francuzów“.

Jednakże ten okres reakcji nie trwał długo. Wkrótce po Restauracji nastąpiły wypadki, które zmieniły zasadniczo obraz Francji. Jak też długo trwać będzie reakcja w Polsce, gdzie republika nie burzyła Bastylji, lecz spokojnie przejęła ją w posiadanie *cum beneficio inventari*, gdzie nie było rządów Robaspierra i Saint-Justa, i gdzie nikt jeszcze z tego tytułu nie ma powodu do jąkania się przy wymawianiu wyrazów „Bastylja“ i „rewolucja“.

Z okazji republikańskiego święta, kiedy, być może, ci panowie z pałacu Brühlowskiego przywdziewają jakąś dyskretną żałobę w postaci czarnej bielizny, niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że reakcja w Polsce będzie trwała krótko.

Ci panowie mogą nam odpowiedzieć, że żadne przyszłe zmiany i wypadki nic ich nie obchodzą, ponieważ ślubowali służyć wszystkim regime'om bez wyjątku. Taka odpowiedź wcaleby nas nie zdziwiła. Znamy możnych obecnie potentatów, którzy w niedawnym czasie nie wstydzili się mówić o „brataniu z bolszewikami“. Znamy bliskich bardzo pałacowi Brühlowskiemu publicystów, którzy w 1922 wzięli do rąk swe najpiękniejsze szczotki dla oczyszczenia butów przybyłemu wówczas do Warszawy Karachanowi i nie okazali przytem wcale tej delikatności uczuć, jaką zdradza ordynat Zamoyski, gdy wsydliwie opuszcza oczy, wymawiając wyraz „Bastylja“. A zresztą czyż ci panowie, wzorując się tak chętnie na przestarzałych o jeden wiek przykładach francuskich, nie naśladują wiernie owych funkcjonarjuszy z 1830 i 1848 roku, o których mówiono wówczas, że „ils sont capable de tout, sauf de donner leur démission“?

Trudno. *Non ominibus licet adire corinthum.* Byle komu nie są dane cnoty repulikańskie, do których cisi legitymiści z góry zapewne zrzekają się pretensji.

S-fin

Bezprzykładny proces.

Mieliśmy możność określić nasz punkt widzenia na proces sądowy o wypadki listopadowe r. ub. Obecnie zaś, pomijając istotę sprawy, zmuszeni jesteśmy zwrócić uwagę czytelnika na formalną stronę rozpraw toczonych w sali sądu krakowskiego.

Krępowani dotychczas w omawianiu, z natury rzeczy drażliwej, sprawy wymiaru sprawiedliwości, gdzie za przykład służy nieukończony jeszcze proces, musimy, wobec jawnego skandalu z prokuratorem Sozańskim, uznać wszystkie względy dyskrecji za nieistniejące, a to tem więcej, że zabierze tu głos prasa zagraniczna, śledząca rozprawy krakowskie.

Niedoskonałość aparatu sądowego, wielokrotnie podnoszona z trybuny sejmowej i na łamach prasy, skutecznie, niestety, obniżyła w społeczeństwie wysoki szacunek dla świątyni Temidy. Wiara, że z oczyma odgrodzonemi opaską od świata zewnętrznego, a wsłuchana jedynie w głos swego doskonałego sumienia, waży dokładnie ciężarki ludzkich błędów i przewinień — jest conajmniej niedostateczna. W sumieniach obywateli walczą bohatersko resztki dawnego wyobrażenia i z góry powziętego szacunku dla sprawiedliwości sądów polskich, z rzeczywistością niezmiernie smutną, doświadczeniami często bolesnemi. Instynkt samozachowawczy społeczeństwa broni się przed klęską, jaką byłoby zupełne osłabienie intymnej, mistycznej poprostu sugestji, jaką sprawiedliwość wywiera na ład i moralność życia publicznego, a z za stołów sędziowskich i z foteli prokuratorów jakże często prowadzona jest formalna z tym instynktem walka.

Nie mówmy o sumieniu sędziego—wglądnijmy w sumienie człowieka.

Przejdźmy wszystkie szczeble rozwoju kulturalnego i całą gamę temperamentów ludzkich, kształtujących subtelny aparacik sumienia jednostki. Wglądnijmy w decydujący wpływ rozumu i kultury człowieka na orzecznictwo jego sumienia w niesłychanej gmatwaninie konfliktów, namiętności i burz życiowych. Zajrzyjmy do źródeł inteligencji ludzkiej, źródeł niezbędnego, nieocenionego daru intuicyjnego wczuwania się w potężne tętno życia, z którego musi płynąć wielka nauka dla sumienia powołanego do przestrzegania jego zdrowia, czystości, swobody i pomyślnego dla szczęścia ludzkości rozwoju.

Zadumajmy się chwilę nad zagadnieniem wpływu temperamentu na sumienie, nad jawnym absurdem, jakim jest wymaganie od gorącego wojownika oderwania sią od pnia swego jestestwa i przeniesienia w dziedzinę skupionej, cichej kontemplacji w chwili, gdy ma sądzić o słuszności prawd swoich i swego przeciwnika.

I dopiero na tle tych wszystkich przemyśleń przypatrzmy się naszym sędziom. Znajdziemy tam ludzi światłych, inteligentnych, kulturalnych, opanowanych, obdarzonych spokojem mędrców i ścisłością sądu uczonych. Ale znajdziemy również miernych urzędniczków, ciemnych prostaczków, klepiących na pamięć artykuły kodeksu bez zrozumienia ich życiowej treści; znajdziemy ludzi burzliwego temperamentu, wciągniętych po uszy w wir walk politycznych, nienawidzących lub uwielbiających według recepty swych stronnictw, partji czy grup; znajdziemy przyziemnych karjerowiczów, nadstawiających chętnie ucha podszeptom tych, którzy mogą w danej chwili zaważyć na szali ich osobistego interesu.

Temida jest ślepa, lecz jakżeż często sędziowie uważają to za gwarancje osobistej bezkarności.

* * *

Pierwszym uderzającym zjawiskiem w procesie krakowskim jest przedewszystkiem niebywały poziom kulturalny, jaki mu nadaje przewodniczący Markiewicz. Nie można żądać mniej niż respektu w sali sądowej, szczególnie ze strony przewodniczącego trybunału, dla chociażby przeciętnych form grzeczności — w tonie i doborze wypowiadanych słów. Od przewodniczącego ponadto należy wymagać kategorycznie powściągania wybuchów nerwowych i zachowania pozorów przynajmniej objektynizmu.

Tymczasem sala sądu krakowskiego jest od paru tygodni świadkiem niesłychanego brutalizmu i tendencji ujawnianej na każdym kroku przez p. Markiewicza. Jego stosunek do oskarżonych i do obrońców razi karczemnością tonu i stwarza na sali sądowej nastrój podniecenia, kompromitującego doszczętnie powagę Sądu.

Z ławy obrończej co chwila padają jednostkowe i zbiorowe protesty, popierane często ostatecznym środkiem represji — zrywaniem rozpraw przez opuszczenie sali. Komendy i szykany stale praktykowane przez przewodniczącego pod adresem obrońców wywołują repliki tak niesłychanie, jako precedensy, groźne, jak: „myślałem że p. przewodniczącemu zależy na wyświetleniu prawdy“ (dr. Heski) i „to wstyd p. przewodniczący“ (dr. Liberman).

To jest ton i poziom rozprawy, w którym jasna i nieukrywana tendencja prezydującego sędziego Markiewicza bije poprostu w oczy.

I w tych warunkach wybucha nagle skandal nieznany w dziejach sądownictwa: poseł Liberman z ławy obrończej składa oświadczenie, że prokurator Sozański dekompletuje ławę przysięgłych, obawiając się, iż może może ona uniewinnić oskarżonych i zapowiadając dobranie na jesieni przysięgłych po swojej myśli. Sędziowie przysięgli składają przewodniczącemu,

do chwili obecnej poufne, wyjaśnienia, w wyniku których minister sprawiedliwości widzi się zmuszony usunąć prok. Sozańskiego od sprawy i wytoczyć mu dochodzenia o nadużycie władzy.

To zdemaskowanie kulis procesu przerasta znacznie skandaliczne zabiegi prokuratora wojskowego płk. Janczewskiego w procesie Bagińskiego i Wieczorkiewicza — rzuca światło na grę stronnictw prawicowych, których szeregi Sozański zdobi, a które z jednej strony robiąc buńczuczną minę w procesie „morderców ułanów ks. Józefa", z drugiej pocichu i systematycznie pracują nad niedopuszczeniem do wyroku.

Nie należy z zachowania się sędziego Markiewicza i skandalu prok. Sozańskiego wyciągać uogólnień. Nie można jednak przemilczeć, że sądownictwo, w którem jest miejsce dla tego rodzaju jednostek nie jest zdrowe, że trzeba mu silnej ręki kierowniczej, którąby uratowała je od całkowitej demoralizacji.

w. s.

Arystokrata i wizy dyplomatyczne nie wystarczą.

Gdy znakomity nasz minister spraw zagranicznych p. Zamoyski po uzyskaniu pięciu głosów większości w Sejmie nie ustąpił ze swego stanowiska—zamilkli wszyscy. Jedni ze zdumienia, inni ze zniechęcenia, inni wreszcie z zadowolenia (ci milczeć wolą, niż się do tego przyznawać).

Ale głosowanie w Sejmie sytuacji bynajmniej nie zmieniło. Politykę zagraniczną prowadzi nadal p. Zamoyski. Pozwolimy sobie zacytować tu zdanie profesora Michała Siedleckiego, który jest raczej zwolenikiem obozu „narodowego", a który w książce swej p. t. „Paryż w 1919 r". (Kraków 1919) tak mówi: o p. Zamoyskim „Dość spojrzeć na tego człowieka i kilka słów z nim zamienić, aby się przekonać, że to wzór szlachetnego, rozumnie ofiarnego i zdolnego do najwyższych poświęceń, a prawdziwie polskiego arystokraty,... do niego należy ostateczna decyzja w sprawach kasowych, on podpisuje wizy dyplomatyczne i spełnia wiele innych czynności; umie urzędować i radzić". Otóż wszystkie te zalety były prawdopodobnie wystarczające dla wice prezesa Komitetu Narodowego. ale dla Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polski są stanowczo niedostateczne. O tem pamiętać winien p. Zamoyski, pozwolimy sobie przypomnieć to p. prezesowi rady ministrów Grabskiemu i zwracamy uwagę Wysokiego Sejmu,

Prawdzie spojrzeć należy w oczy i powiedzieć sobie, że sytuacja nasza jest poważna. Europa stoi w przededniu rozwiązania najrozmaitszych zagadnień, które dla nas pośrednio i bezpośrednio będą miały znaczenie pierwszorzędnej wagi.

W połowie lipca odbędzie się konferencja międzysojusznicza w Londynie. Na konferencji tej — sądząc z oficjalnych depesz — Polska, wraz z Jugosławią, Rumunją i Czechami stanie się znów państwem „o ograniczonych interesach“ i reprezentowana będzie, w razie potrzeby, przez swego posła w Londynie*). P. Skirmunt nie jest negocjatorem i obecność jego na konferencji w Londynie budzić musi najpoważniejsze obawy, tembardziej, że instrukcje dlań pisać będzie p. Zamoyski...

We wrześniu odbywać się będzie Zgromadzenie Ligi Narodów. Obecni na niem będą Mac Donald i Herriot. Na porządku dziennym jest sprawa rozbrojenia. Nie jest wykluczone, że i inne ważne sprawy nas dotyczące znajdą się na stole obrad. Przy całkowitem obniżeniu naszego prestige'u w Europie, do czegotak znakomicie przyczynili się pp. Seyda, Dmowski i Zamoyski, nie wiemy co będzie mógł zrobić p. Skrzyński, jeśli niezaradność, nieudolność i bezmyślność nadal panować będą w naszem ministerstwie spraw zagranicznych.

Sprawy są ważne, nagłe i domagają się szybkiego załatwienia.

(ja)

Dwie miary honoru narodu.

Moralny autorytet Mussoliniego stał się już rozsypującym w proch mitem. Są tacy co weń jeszcze wierzą, ale znakomita większość pozbywszy się złud, staje w szeregach przeciwników krwawego i niszczącego „budowniczego“ powojennych Włoch. Stąd też pierwszem pragnieniem skompromitowanego „dyktatora“ jest uspokojenie wzburzonego ohydnemi mordami ostatnich czasów narodu i w niem widzi nadziejeratunku.

Zbagatelizować zbrodnię faszystowską, i wykazać swą niewinność—oto pobudki senackiej mowy Mussoliniego z 24. VI. b. r. Była ona punktem wyjściowym ofenzywy przeciw oskarżeniu jakie mu wygotowała zdrowa i uczciwa opinja, a zarazem stała się nowym dowodem jego wartości moralnej. „Akt nierozważnego teroru“, jak określa Mussolini zamordowanie Matteotliego, nie narusza oczywiście w niczem godności narodu włoskiego. „Honor narodu nie w chodzi tu w grę“. Takie jest zdanie moralnego sprawcy zbrodni, stojącego z Rossim, Finzim i Marinellim na piedestale najwyższej władzy w kraju.

Zamordowanie wybitnego członka opozycji parlamentarnej, człowieka, który ma w ręku dowody, otwierające nieuczciwym — okrwawionym członkom terorystycznego rządu drzwi więzień,

*) Już po złożeniu artykułu nadeszła wiadomość, że z winy karygodnego niedbalstwa p. Zamoyskiego i Skirmunta Polska nie otrzyma zaproszenia na konferencję.

a oczy światu, zasłuchanemu w bałwochwalcze ku czci faszyzmu hymny — oto czyn, według Mussoliniego, godności Włoch nie uwłaczający. Już sam fakt, że trzeba było męczeńskiej śmierci, by odkryć całą ohydę stosunków panujących pod rządami teroru, przeczy temu twierdzeniu. I tu przychodzi na pamięć stanowisko, jakie *il Duce* zajął wobec zamordowania członków włoskiej komisji delimitacyjnej w Albanji. Zbrodni, o którą nie trudno było w burzliwej atmosferze bałkańskiej, dopuścili się pograniczni bandyci, a przecież fakt ten tak dotknął, w pojęciu Mussoliniego, honoru narodu, że rozkazał armatom swej floty sięgnąć po krew greckiej ludności Korfu, a w odpowiedzi na oburzenie Europy, rzucał butne słowa: „cała Ententa powinna się nauczyć, w jaki sposób należy do Włoch przemawiać".

Dziś imię Włoch, w osobie rządu i faszyzmu całego zostało rzeczywiście na szwank wystawione. Mussolini, mający dwie miary oceny honoru narodu, uważa za stosowne i na miejscu puścić w niepamięć swą czułość na punkcie godności Włoch. Kryje pozatem usilne staranie, wszelkiemi możliwemi sposobami, z pominięciem etyki, utrzymania, może nieco „oczyszczonej", ale zawsze dyktatury.

n.

Curiosa naszego przemysłu wojennego.

Ministerstwo Spraw Wojskowych przystąpiło do wykonania jednego z najważniejszych i niezmiernie skomplikowanych swych zadań — organizacji przemysłu wojennego.

Wystarczy rzucić okiem na mapę Europy i przebiec granice Polski, aby sobie dokładnie uświadomić nasze położenie na wypadek wojny. Komunikacja z aljantami narażona na całkowite zamarcie lub przynajmniej daleko idące ograniczenia. Połączenie z Francją drogą lądową absolutnie zawodne, morską silnie zagrożone. Ze wschodnim czy zachodnim sąsiadem zmuszeni będziemy zmierzyć swe siły — sytuacja pozostaje bez poważniejszych zmian. W jednym i drugim wypadku stajemy się wyspą ze wszystkich stron odciętą, która na własne wyłącznie liczyć może siły. Stąd też akumulowanie tych sił w czasie pokoju jest jednym z warunków naszej egzystencji państwowej, na tym uzbrojonym od stóp do głów kontynencie, z wielu stron wciąganym w odmęt groźnych niebezpieczeństw wojennych.

Wojna współczesna — wielki pojedynek maszyn, w którym człowiek coraz bardziej odgrywa rolę obsługi jedynie, wojna toczona nad, na i pod ziemią, stawia olbrzymie wymagania w zakresie wytwórczości technicznych środków walki. Trzeba się jaknajpoważniej liczyć z faktem, iż omal klasyczna

wojna ruchoma, oparta na inicjatywie wodza i bitności żołnierza, jaką w znacznej części była ostatnia nasza wojna z bolszewją, należy do pełnej romantyzmu przeszłości. Przyszłość zbliża nas coraz bardziej do typu wojny materjałowej, nowoczesnej, opartej tyleż na sprawności przemysłu, ile nerwach żołnierza.

Społeczeństwo nasze niema dostatecznego wyczucia tej sprawy i przemysł wojenny jest dlań terminem pozbawionym właściwej treści. Stąd zainteresowanie tym działem wytwórczości jest szczególnie skromne, uświadomienie minimalne. Tymczasem istota sprawy nie usprawiedliwia obojętności, a przeciwnie, domaga się interwencji i kontroli opinji publicznej.

Przedewszystkiem należy zdać sobie sprawę z warunków w jakich przystępujemy do tej niezmiernie złożonej i olbrzymiej pracy.

Wojna światowa, wzniósłszy we wszystkich walczących państwach potężne organizacje przemysłu wojennego, a przedewszystkiem spotęgowawszy wytwórczość broni i maszyn bezpośrednio lub głównie potrzebom wojny służących, pozostawiła je w spadku wątłemu dziecięciu pokoju. Z chwilą w której przestał istnieć łapczywy konsument środków walki — front bojowy, dla przemysłowców powstał nowy dylemat: zapewnienia sobie nowych konsumentów. Nie trzeba być mistrzem w dziedzinie logiki, by zrozumieć, że takim właśnie idealnym odbiorcą produktów przemysłu wojennego stały się wszystkie na gruzach wojny powstałe państwa, szczególnie te z nich, które nie odrazu mogły rozpocząć pokojowe życie, a były zmuszone z bronią w ręku wykreślać swoje granice. I jeżeli kto, to właśnie Polska, tocząca uciążliwą wojnę, a bezbronna, była prezentem opatrzności, zesłanym europejskim producentom środków walki.

Nie mogło i nie może być dla nich bardziej frapującej perspektywy, nad kultywowanie ad infinitum pełni sił konsumcyjnych Polski, t. j. utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy, w którym nie posiadając własnych wytwórni sprzętu wojennego, sprowadzamy obce.

Najbardziej zainteresowani są w tym wypadku przemysłowcy francuscy, z uwagi na stosunki i węzły łączące nas z Francją, oraz Niemcy, którym z innych, zrozumiałych, względów również nie mało zależy na paraliżowaniu wszelkich planów Polski, zmierzających do zapewnienia sobie samowystarczalności przemysłowej na wypadek wojny.

Byłoby zbędnem dowodzić, że interes kapitału nie graniczy nawet z patrjotyzmem, a tem więcej uczuciami przyjaźni, że rządzi się on kosmopolitycznemi prawami konkurencji i podboju rynków swego debitu. Kapitał francuski nie jest ani gorszy ani lepszy od innego, ciąży on na polityce swego państwa w duchu swoich interesów w identycznie takim samym stopniu, jak polski na polityce wszystkich dotychczasowych rządów.

Pierwszy odważył się pójść wbrew jego wymogom minister skarbu Grabski, ale i tu nie można mieć pewności, kto ostatecznie wygra kompanję.

Sądzimy tedy, że w niczem nie osłabimy sympatji naszego czytelnika dla Francji, jeśli pozbawimy go złudzeń co do aspiracji przemysłowców francuskich względem Polski.

Pomińmy, na razie, drogi, któremi potrafili oni znacznie zniekształcić i opóźnić realizację planów organizacji naszego przemysłu wojennego. Być może wypadnie nam niejednokrotnie dotknąć tej drażliwej kwestji i roznegliżować poszczególne fragmenty zakulisowej gry. Pozostawiamy je wszakże, chwilowo, na uboczu i przejdziemy do stwierdzenia szeregu faktów jaskrawo oświetlających podstawy tego stosunku.

Już w 1919 roku *Chambre Syndicale des Constructeurs des moteurs l'aviation* w Paryżu uchwala rezolucję o zgodnej eksploatacji Polski, wychodząc z założenia, że indywidualne w tym celu zabiegi poszczególnych fabrykantów wywołują wzajemną konkurencję, szkodliwą dla ogólnych interesów przemysłu swego kraju.

W tym też 1919 r. przybył do Warszawy przedstawiciel tej organizacji p. Saulnier z zamiarem zawarcia z rządem polskim odnośnych kontraktów, decydujących o uzależnieniu naszego lotnictwa od przemysłu lotniczego francuskiego.

Z formalnego punktu widzenia ten plan syndykatu francuskiego nie został zrealizowany, a to ze względu na stanowczą decyzję Polski powołania do życia własnego przemysłu lotniczego. Poddając się tej decyzji p. Saulnier wystąpił z propozycją stworzenia francusko-polskiego towarzystwa dla produkcji aeroplanów i samochodów, i w krótkim czasie, przy pomocy p.p. W Srzednickiego, I. Leskiego, P. Drzewieckiego, G. Wertheima, gen. W. Zagórskiego, L. Bobińskiego, L. Wellisza i M. Bilińskiego organizuje Francusko-Polskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze, t. z. „Frankopol“, w celu „budowy i eksploatacji zakładów dla wyrobu samochodów i areoplanów, motorów i innych maszyn, oraz środków przewozowych“, z kapitałem 300 miljonów mkp.

Do rady zarządzającej zaproszeni zostają przedstawiciele przemysłowców francuskich; ze strony polskiej wybitniejsi przedstawiciele przemysłu, oraz posłowie i senatorowie. Znajdujemy tam więc pp.: posła S. Czetwertyńskiego — członka sejmowej komisji budżetowej, senatora F. Adama, posła K. Hącie, senatora M. Szarskiego, W. Kościelskiego, A. Lubomiskiego, J. Radziwiłła, S. Rottermunda, F. Turkheima, G. Wertheima, gen. W. Zagórskiego i t. d. Ze sfer lewicowych dość czynnie, choć nieoficjalnie, współdziała z Frankopolem senator Januszewski.

Po zawiązaniu się w 1920 r., Frankopol otrzymał od rządu 700 tysięcy złotych pol. tytułem zaliczki na zamówienie, przyczem odnośny kontrakt na budowę płatowców jest wzorem

kurtuazji państwa względem ustosunkowanych kierowników spółki, nie nakładając na nich obowiązków przestrzegania jakichkolwiek bądź terminów wykonania zamówień, a przedewszystkiem pozostawiając im swobodę sprowadzania „poszczególnych części” silników z Francji.

Pierwszy rok swej egzystencji Frankopol stracił na przekomarzanie się z magistratem stolicy o place pod budowę fabryki, żądając, najwidoczniej w celu przewlekania sprawy, terenów miejskich na Pradze przeznaczonych na rzeźnię. Wreszcie po roku zdecydowano przystąpić do budowy, wbrew tezie Sztabu Generalnego, w Okęciu na Ochocie tuż pod Warszawą. W trakcie budowy wzrastały awanse rządowe, mimo iż do obecnej chwili Frankopol jest jeszcze bardzo daleki od ukończenia budowy fabryki, a tem więcej od wykonania kontraktu.

Mimo to przynosi on pokaźne zyski. Mniejwięcej przed pół rokiem rząd widział się zmuszony, nie czekając na ukończenie fabryki w Okęciu, zamówić w fabryce francuskiej „Lorraine et Dietrich“ 750 silników aeroplanowych za sumę 70 miljonów franków. I oto pod naciskiem *Chambre Syndicale de Constructeurs des moteurs d'aviation*, „Lorraine et Dietrich“ musieli Frankopolowi wypłacić, tytułem prowizji od otrzymanego od Polski obstalunku, około 7 miljonów franków.

Okazało się tedy oczywiście, że Francopol jest niczem więcej, jak ekspozyturą syndykatu fabrykantów motorów lotniczych francuskich i że interes jego polega właśnie na tem, aby do samodzielnej produkcji nie przystępować. Co zaś szczególne rzuca światło na charakter i stosunki tej imprezy, to fakt, że kiedy firma „Lorraine et Dietrich“, istotnie bardzo poważna, po doświadczeniu z prowizją dla Frankopolu zwróciła się do naszego Ministerstwa Spraw Wojskowych z propozycją otwarcia w Polsce swego oddziału, na wniosek szefa departamentu lotnictwa generała Levêque otrzymała, bez zbadania warunków oferty, odmowną odpowiedź, umotywowaną tem, że wszystkie obstalunki otrzymał już Frankopol.

I w istocie, obecnie rozważany jest projekt dwuch nowych umów z tą, mającą kiedyś rozpocząć produkcję, fabryką: 1) na dostawę 750 silników za ogólną sumę 75 miljonów franków, oraz 2) na dostawę w przeciągu lat 10-ciu 5.000 silników, które mają być rzekomo całkowicie wykonane w Polsce. Ponadto Frankopol otrzymuje niezwłocznie 5 miljonów franków pożyczki od rządu, na zakup maszyn we Francji.

Obydwa te projekty popierane są usilnie przez posła S. Czetwertyńskiego z jednej, oraz senatora Januszewskiego z drugiej strony. Szefem zaś departamentu X Przemysłu Wojennego w M. S. Wojsk. jest gen. W. Zagórski, członek zarządu Frankopolu. Departamentem Lotnictwa kieruje francuski gen. Levêque, który tak ładnie uczył polską prasę patrjotyzmu,

ale nie potrafił nauczyć Plage i Laśkiewicza budować dobre aeroplany, a lotników dobrze na nich pilotować.

Kontrakty są zaiste lukratywne. 10% od sumy 75 miljonów wynosi 7 i pół miljona franków, którą to sumę zarządcy ekspozytury syndykatu francuskiego otrzymają za pośrednictwo przy sprowadzeniu z Francji 750 silników, zaś wykonanie zobowiązania na dostawę 5.000 silników w terminie 10-cio letnim nie jest zbyt śpieszne i również będzie niezawodnie załatwione bez szkody dla interesów przemysłowców nadsekwańskich.

Trudniej natomiast byłoby ustalić, kto broni w całej aferze Frankopolu interesów państwa i dzięki jakim protekcjom święci pełny tryumf system jawnej korupcji, zabijający w zarodku przemysł wojenny?

W. Stpiczyński.

Perły dyplomacji polskiej.

Jeden z wielkich mistrzów loży endeckiej p. Stanisław Zieliński były narodowolec, co to nie w czarnej koszuli, ale czerwonej rubaszce spacerował, a który tak niezwykle zasłużył się p. Seydzie i wszystkim wrogom Polski, jako że był najwspanialszym dezorganitorem naszej służby zagranicznej, mianowany został, w uznaniu wielkich zasług, po wygryzieniu p. Karola Rosego, konsulem generalnym w Berlinie. Stanowisko to jest podobno czasowe. W związku z różnemi przewidywanemi zmianami na najwyższych stanowiskach — po uchwaleniu pełnomocnictw — sfery narodowo-demokratyczne wysuwają na stanowisko ministra spraw zagranicznych p. Kazimierza Olszowskiego, ministra pełnomocnego i posła nadzwyczajnego w Berlinie. Jego obecnie miejsce zająłby oczywiście wielki mistrz, Stanisław Zieliński.

Doprawdy śmiaćby się można, gdyby nie należało ubolewać, że tego rodzaju kandydatury wogóle są możliwe, że je ktośkolwiek może traktować na serjo. Ale u nas wszystko jest możliwe.

Pan minister Olszowski, któremu berlińskie laury nie pozwalają spokojnie spoczywać, jeszcze się niczem w swem życiu politycznym i dyplomatycznym dodatnio nie odznaczył. Były skromny adwokat w Warszawie, bez wielkiej inteligencji i uzdolnień, przedzierzgnął się, po wypłynięciu z fal ugodowości rosyjskiej i niemieckiej, w wielkiego męża stanu Rzeczypospolitej Polskiej. Pod jego to przewodnictwem odbywały się słynne konferencje w M. S. Z. w sierpniu r. 1920, gdzie radzono by poddać się i przyjąć wszelkie przez bolszewików postawione warunki. Wtedy to wysunął się na czoło polskich negocjatorów i odtąd podpisuję wszelkie konwencje, podpisuje

ich bardzo wiele, ku swojej chwale, a na szkodę Polski. Wymieniamy tu konwencję tranzytową zawartą z Niemcami 21 kwietnia 1921 roku z klauzulą o tranzycie t. zw. plombowanym. W plombowanych wagonach mogą Niemcy dzięki p. Olszowskiemu wysyłać broń do Rosji. Z również właściwą sobie zdolnością, i znakomitem orjentowaniem się w sprawach politycznych znalazł się na uroczystem posiedzeniu poprzedzającem podpisanie polsko-niemieckiej konwencji Śląskiej, z dn. 15 maja 1922 r. gdy nie zdobył się na słówko odpowiedzi na oświadczeniu ministra Rzeszy Schiffera, że podpisując konwencję, robi zastrzeżenie prawne, później przez Reichstag przyjęte. Natomiast wygłosił cermonjalną mówkę dziękując *á tout le monde et son pére.*

Nie chcemy poruszać skandalicznych jego pomysłów na stanowisku posła w Berlinie. Szczęśliwie się złożyło, że mamy tam dzielnego i zdolnego radcę poselstwa p. Jackowskiego, który chore fantasmagorje ograniczonego dyplomaty skutecznie paraliżował.

Najwyższy już czas, by przestano wystawiać, na sukcesję po p. Zamoyskim, kandydatury ośmieszające i tak dość już u nas spostponowane stanowisko ministra spraw zagranicznych.

Symptomaty zwrotu stosunku mniejszości niemieckiej względem Polski.

(*Pomereller Tageblatt*, № 149)

Mniejszości narodowe muszą się przyzwyczaić do patrzenia na Polskę inaczej jak dotychczas. Zwłaszcza my Niemcy powinniśmy pamiętać, że Polska cierpiała pod Niemcami. Z drugiej strony moglibyśmy wskazać na strumienie krwi przelanej w walce o wolność Polski. Coprawda, nie było to robione dla Polski?! Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie Niemcy uwolnili Polskę od niebezpieczeństwa wschodniego, czem okupili stokrotnie winy swe wobec Polski. Wczoraj czy dziś, chodzi Niemcom w Polsce tylko o swobodny rozwój narodowy. Silnie rozwinięty instynkt państwowy broni Niemca przed fałszywem pojmowaniem państwa. Rozumieją, iż absurdem jest negowanie państwa, domagając się jednocześnie odeń całkowitego równouprawnienia; wie on także, iż musi się dostosować do praw kraju, w którym mieszka.

Wzruszająca biurokracja.

Kierownik Rejonu Inżynieryjno Saperskiego w Łodzi wystosował pod datą 18 czerwca 1924 r. do jednego z obywateli pismo następującej treści: „Komunikuję, że za należne, w myśl rozstrzygnięcia Urzędu Rozjemczego z dn. 28 marca 1923 r. i Dziennika Rozkazów Wojskowych L. 7/24 poz. 101, komorne za lokal zajęty dla potrzeb wojskowych przy ul. XX za czas od 1 stycznia do 1 kwietnia 1924 w *sumie 1 grosz*, wobec niepodjęcia takowego zostało zdeponowane w Kasie Skarbowej. Kierownik Rejonu Inż. Sap. Łódź, *Filanowicz* inżynier-major".

Lokal, o którem mowa, składa się z 28-miu pokojów.

Za kwartał 1 grosz czynszu komornianego... zdeponowanego w Kasie Skarbowej!

Ile kosztuje państwo procedura przelewania tego grosza czynszu z kasy do kasy i z urzędu do urzędu?

W P. K. O. coraz lepiej.

Artykuł nasz zwracający uwagę na niezdrowe stosunki w P. K. O. wytworzone przez zalew tej instytucji austryjacką zgnilizną urzędniczą, wywołał żywe zaniepokojenie w zdekonspirowanem bagienku. Rada w radę, mało polscy członkowie bractwa św. Franciszka Józefa postanowili się bronić. Ostatniemi dniami niejaki p. Kulczycki — naczelnik wydziału oszczędnościowego P. K. O. zwołał konwentykiel starszych urzędników w celu uradzenia tekstu zbiorowej enunacji, przeznaczonej do publikacji w prasie. Brawo! Będziemy mieć okazję do głębszego zapuszczenia się za kulisy stosunków i intryg k. u. k. meteorów.

Na razie żądamy tylko aby w enuncjacji było wyraźnie powiedziane że inicjatorem jej jest galileusz Kulczycki, kuzyn p. prezesa Huberta Lindego, oraz wyjaśnione, na jakiej podstawie tenże Kulczycki otrzymał od swego wuja prezesa 6-cio pokojowy apartament w domu P. K. O. przy ul. Marszałkowskiej?

Na razie tylko te dwie skromne prośby.

Wyjaśnienie w sprawie Dubrowlan.

W wyjaśnieniu głośnej sprawy Dubrowlan na Wileńszczyźnie poruszonej przez nas w № 42 Głosu Prawdy doniesiono nam, że umorzenia spraw przeciwko Zygmuntowi Chomińskiemu o znieważanie urzędów i osób urzędowych dokonane zostało bez udziału pod prokuratora Okręgowego Sądu Wileńskiego Neumana. W grudniu 1922 r. wystąpił on ze służby państwowej, sprawy zaś Chomińskiego rozpatrywane były w późniejszym czasie.

Drobiazg ten w niczem nie zmniejsza powagi samej afery związanemi z losami Dubrowlan, do której powrócimy w najbliższym czasie.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.